

Henryk Heller

»H« — jak Halinka

Znużona noc słabnie. Brzask śni się już śpiącemu miastu. Na podmiejskim lotnisku otwarto pierwszy hangar. Stróż nocni w wymiętych, czarnych płaszczach obojętnie przyglądają się ubranemu w kombinezon lotnikowi i młodszemu od niego w skórzaną bluzę chyba mechanikowi. Wysoko pod dachem hangaru klóca się rozbudzone wróble. Na porośniętą posadzkę cementu podrygując śmiesznie, jakby niechętny holującym go ludziom, wypelza samolot. Na kadłubie widnieją

zwykłego. Znużony jednostajnym warkotem lotnik popada w zadumę. Przez szyby kabiny majaczy daleki brzeg kanału i ziemia, której z daleka od kraju bronili przez tyle lat.

Na przykład rok 1941. Pierwszy lot. Miał być ulgowy. Przez twarz przebiega skurcz — jakby zwiększone napięcie. Szli schodami specjalnie, żeby hitlerowców wciągnąć do walki. Gabrzewicz — kapitan eskadry, odruchowo zakreślił w lewo i wtedy o mało co Szymański miałby kraknąć z Focke-Wulfem. 10 metrów róż-

lały maszyny oznaczone krzyżem były już daleko.

Pod nim znowu pola i domki. Brzeg i roztopione szkło kanału — woda. Tak po „ulgowym” cenie wyszli szkopy...

...Cień skrzydeł musnął właśnie dachy ostatnich zabudowań miasteczka Swarzędz. Wąskie uliczki i pierwsi na nich przechodnie. Ledwo dostrzegalne sylwetki. Wyspani po ludzku podejmą zaraz pracę. Lotnik z ulgą myśli, że tamte czasy już dawno minęły...

...Albo nad samą Francją. To były wtedy Hurricany. Dziwaki ci Anglicy. Nie lubili Polaków za to, że ci, zapominając się, gnali na całego. Ale jak nie miało człowieka porywać. Każdy strzelający w niebo słup dymu z miejsca, które stało się grobem jeszcze jednego faszysty, przynosił złowieszcą ulgę: był wtedy rachunkiem osobście egzekwowanym na hitlerowcach. Za dymy kominów krematoryjnych, za zniszczenie tam, w kraju...

Słońce chowa się znowu za chmury. Zaczyna padać. Szymański porównuje mapę. To już Pleszew. Schodzi niżej. Motor jakby udaje pracę. Teraz szybkość się zdwoja. Chyżo uciekają do tyłu polećka. Ciekawe co to za chory. Czy z wypadku? W każdym razie coś poważnego. Stary wyga dywizjonu 316 chwytą się na tym, że niepokoi go los przyszłego pasażera. A wydawało się, że już po tym tam piekle nad Anglią człowiek przestanie czuć po ludzku. 44 kolegów z jednego tylko trzystu szesnastego okupiło swą śmiercią sprawę Anglików. 165 lotów do września 1944 roku. Nieraz jeszcze teraz dziwi się, że jego loty kończyły się zawsze jednym:

course home. Może i to zasługa Betty, która mieszkając przy lotnisku w napięciu śledziła każdy start, mocno trzymając kciuk lewej ręki. A potem, kiedy urodziła się Halinka i samolot też nazwany został jej imieniem, no, wtedy już maszyna należała do rodziny. Nie mogło w niej nikogo zabraknąć. Szczęście musiało więc dopisywać.

Teraz znowu przypomina sobie dokładnie osławioną przez

Hitlera V-1. Różnie zachowywały się te latające bomby. Był chyba czerwiec 1944 roku. Wysyłane z dalekich brzegów Bałtyku jawiły się nad Kanałem z szybkością do 800 km. Już kilka takich samolotów-pocisków zmusił do gwałtownej zmiany kursu. Na ziemię, gdzie kończyły swoje istnienie.

Pamięta, chciał już wracać do bazy, kiedy przypadkowo natknął się znowu na jeszcze jeden egzemplarz V-1. Ostatnie 20-mm pociski pokładowego działka rozerwały się w silniku latającej bomby i upiorny pocisk zwolnił szybkość do 600 km. Uporczywie jednak trwał w kursie na wyspę. Teraz łatwiej przyszło już zrównać się z dziwnym gościem. Nieprzeparta chęć zobaczenia potwora z bliska, przyciągnęły „Halinkę” na odległość 4 — mo-



szyną, i skrzydłem „Halinki” uderzył najpierw lekko próbując, potem natarczywie. Bomba zmieniła położenie, stała jednak trzymając się kierunku lotu. Chyba przy dziesiątej próbie samolot-pocisk, mocno podważony skrzydłem myśliwca, jak zdechła ryba przewrócił się grzbietem do góry. Pomieszało się we wnętrzu ciach potwora i w następnej już chwili, pikując pionowo na dół wpadł do morza.

„Halinka” przywiozła do bazy przygięte prawe skrzydło, ślady jasno-niebieskiej farby i ciekawe zdjęcia, dokonane w momencie wybuchu V-1...

...To chyba już Kępno. Za miastem Szymański schodzi ku kartofliskom. Na drodze jaśnieje plama karetki pogotowia.

ność, poziom, ciśnienie barometryczne lotniska. Padają skróty symboli. Scena jak z filmu o lotnikach. Tylko, że tu naprawdę chodzi o pomyślnie lądowanie samolotu wiozącego ludzi, prawdziwych pasażerów.

Za chwilę w dużym oknie kontroli lotniska pokazuje się sylwetka pasażerskiego samolotu „Lot”. Powietrzny autobus siada miękko na betonowym torze lotniska.

Podjeżdża wóz-cysterna. Na przysuniętych do samolotu schodkach stają pierwsi pasażerowie. Skrzywienie buzi chłopaka domagającego się od matki dalszego lotu nie pomaga. Spodobał mu się lot, chce więc dalej. Matka nieczuła na prośby ściga siłą nieledwie pociechę na ziemię. Cóż, starsi chętniej ulegają własnym zachceniom — wobec kaprysów dziecka bywają niezłomni...

Samolot po chwili wytchnienia startuje. Kierunek: Szczecin. Leci w dalszą drogę znowu odprowadzany Jakubowski: Alina... Alina... tu Poznań.

Halinka jest już dużą panną. Ma 14 lat, ładne oczy i jasne, płowę włosy. Betty — pani Szymańska, jak dawniej pod Londynem wita zawsze serdecznie Tadzikę, jak zawsze z niepokojem oczekuje jego przybycia. Zona. Rodzina Szymańskich jest już liczniejsza. Już w kraju powiększyła się o Olka, dziś już 9-letniego chłopaka, wiecznie majstrującego przy małych samolotkach, które kiedyś staną się prawdziwymi. Jest i Mary i mały 2-letni Konradek.

Kiedy otwierają się drzwi mieszkanka przy Opalenickiej „stary” dywizjoner melduje się w swej najwierniejszej bazie. Na ścianach pokoju, w którym za chwilę spożyją wspólny posiłek — insygnia powietrznej władzy pilota.

Śmigło, białoczerwona szachownica, na niej Virtuti Militari, potrójny „Walecznych”, krzyż zasługi z mieczami, brytyjskie odznaczenia bojowe i ładne, duże zdjęcie w chwili startu na „Halince”, odznaczonych licznymi znakami zestrzelonych jednostek bojowych faszystów.

Na bocznej ścianie, w cieniu biblioteczki oprawiona w ramkę tytułowa strona emigracyjnego pisma „Skrzydła”. Data 15—31 sierpnia rok 1942. W wypreżonym szeregu trwają lotnicy polskich dywizjonów w służbie RAF. Na pierwszym planie lotnik „Halinki”. Generał Sikorski dekoruje go odznaczeniem.

Sięgająca po imbrzyk ręka Szymańskiego zatrzymuje się w połowie drogi. Zajączkał schowany między książkami telefon.

— Słucham, Szymański. Co się stało? Dokąd. Zaraz będę.

— Lecę do Bielska — mówi uśmiechając się przepaszając do Betty. — Ciężki wypadek.

Przeniosła już naczynia do kuchni, teraz zbiera serwetę, z której trzeba strząsnąć kawałki pokruszonego chleba, ale rosnący pomruk silnika ciągnie ją ku oknu. Ciemny punkt na szarych chmurach zbliża się, jest coraz wyraźniejszy, jest już nad ulicą i Betty zdaje się, że Tadek pozdrawia ją ręką. — Wracaj szybko. My dar- przy aparacie. Podaje widzial- ling...



Sanitariusze przenoszą na noszach chorego. — Wylew krwi do mózgu — wyjaśnia Tadeusz Szymański.

znaki: SPAXG i czerwony krzyż.

— Rozgrzej silnik, Baranek. Ja skoczę po prognozę i zezwolenie — rzuca młodszemu ten w kombinezonie. Teraz idzie w stronę górującego nad hangarami budynku.

Przez okno dobiega skrzypienie nie otwieranych drzwi i zaraz słowa wypowiedane do mikrofonu słuchawki.

— Dzień dobry, tu lotnisko, mówi Szymański. Proszę prognozę na przelot do Kępna. I z powrotem. Planuję wyjazd na 5.10. Wracam Ławica 8.05... A widoczność? Dziękuję.

Słuchawka wraca na widelki. I potem znowu:

— Halo, tu Szymański. Dy- spozycję? Proszę zezwolenie na lot do Kępna 142 km...

Dnieje. Silnik huczy gwałtownie, budząc pobliski las i szare pola. Śmigło zasmakowało ruchu, kręci się teraz z opętanczą szybkością. Jak potężna wirówka tnie powietrze, ścinając cząsteczki porannej wilgoci w krople pryskające pod kadłub samolotu.

Szymański trzyma już drążek steru. Start. Maszyna odrywa się od ziemi, zatacza długie półkole, podchodzi do właściwego kierunku lotu. Kurs na południowy wschód.

„Droga” prosta jak strzelił. Teraz można już trochę odpocząć. Pilot spogląda ku ziemi. Na pluszu łąk odcinają się wyraźnie pudełka domów, wąskie tasienki dróg i podniszczone szczytki leśnych pasów. Na wysokości do tysiąca metrów samolot traci na szybkości. Takby stał w miejscu. Tylko słaby przepływ beładnych, brudnych chmur, pomaga uzmysłowić poczucie ruchu.

Szymański myśli o chorym. Dla pacjenta to będzie coś nie-



SPAXG ląduje. Nadjeżdża karetka pogotowia...



Do samolotu podbiegli kierownicy ruchu lotniska cywilnego. Ten po prawej — to Zdzisław Jakubowski. Przyjmują sanitarkę.

że 5-ciu metrów. W bezpośrednim sąsiedztwie mógł napaść się dowoli, ale jak udaremnić niszczycielskie dzieło śmiercionośnej bomby? Odgłos pracy silnika rakietowego V-1 przypominał warkot dwutaktowego motocykla. W przedniej części kadłuba intensywnie chodziło półmetrowe śmigielko, skrzydła latającej bomby nie przekraczały 7 me-

No, co z tym chorem?...

Ławica. Grupa obsługujących lotnisko śledzi bezgłośnie lot sanitarki. SPAXG ląduje. Do samolotu podbiega kierownik ruchu — Zdzisław Jakubowski, nadjeżdża też karetka pogotowia. Sanitariusze przenoszą na noszach chorego.

— Wylew krwi do mózgu — wyjaśnia Szymański, ludziom z poznańskiego szpitala, kiedy pytają o stan chorego. — Jeszcze jedna ofiara wypadku motocyklowego.

Kierownik ruchu wraca do swojej wieżyczki. Karetka ciacho sunie po asfalcie lotniska, wydostając się na drogę do miasta.

Szymański zachodzi do gmachu lotniska. Na górze w wieżyczce kierownika ruchu stacja nadawczo-odbiorcza przekazuje słowa kapitana statku, zbliżającego się do Poznania.

— Poznań... kontrola... Alina.

— Alina... Alina... tu Poznań — podniesionym głosem odpowiada Jakubowski.

Łączność z pasażerskim samolotem Warszawa—Szczecin nawiązana. Jakubowski tkwi przy aparacie. Podaje widzial-

Serce drzeworytnicze

Zgrzyt klucza w zamku. Drzwi do sieni otwierają się i staje w nich niska kobieta w średnim wieku. Włosy gładko zaczesane.

— Pani Zgańska?

Po chwili jestem w pokoju na pierwszym piętrze domku przy jednej z krótkich ulic Wroniek, miasteczka położone go nad Wartą.

Wyjaśniam szerzej cel swej wizyty.

Na trop tematu o Stanisławie Zgańskim szamotulskim grafiku — drzeworytniku wpadłem zupełnie przypadkowo.

★

Cofnijmy się o kilka tygodni. Uroczystości 500-lecia istnienia Szamotuł. Skromna wystawa w tutejszej bibliotece powiatowej. Uwagę moją przyciągały umieszczone pod szybą bibliotecznego stołu drzeworyty i listy, spośród których trzy szczególnie rzucają się w oczy. Nadawcą jednego jest sekretarz osobisty pianisty Ignacego J. Paderewskiego, dwóch innych — znany pisarz, piewca polskiego Śląska — Gustaw Morcinek. Wszystkie pisane są w 1937 r. Ich adresatem — Stanisław Zgański.

Treść pierwszego:

„Szanowny Panie! Pan Prezydent Paderewski poleca mi złożyć najgorętsze podziękowanie za łaskawe przesłane exlibris i



Exmusicis I. J. Paderewskiego, oraz exlibris Gustawa Morcinka i Jerzego Młodziejewskiego.

exmusicis. Piękne, wysoce artystyczne wykonanie drzeworytów spotkało się z całkowitym uznaniem...

A oto fragmenty dwóch listów Morcinka:

„Nie uwierz Pan, jak wielką i radosną niespodziankę sprawiła mi przesyłka Pani Wiesławy Cichowicz, z exlibrisem wykonanym przez Pana! Serdecznie Panu dziękuję, bardzo serdecznie. To małe cacko ogromnie mi się podoba, doskonale Pan to zrobił... Dzisiaj pozwalam sobie przesłać Panu swoje: „Gołębie na dachu“, taką sobie książeczkę o dzieciach ze szkoły powszechnej, następnie zaś, nieco później, prześlę Panu „Inżyniera Szerudę...“ Gdy kiedyś Pan zaglądnie na mój Ślask — proszę nie zapominać o mnie... Dłoń serdecznie ściskam.

... Obecnie sknociłem okropne powieści do o szkole powszechnej i o nauczycielstwie. Ma to tytuł wielce wyszukany, bo ochrzciliśmy to zezowate dziecko: „Wyorane kamienie“. Obecnie jeszcze (...) będzie spoczywać... w biurku. Lecz gdyby się tak kiedyś dał jakiś wydawca nabrać haniebnie i książkę tę wydać, to piszę do Pana w tej sprawie gorącą suplikę...

Jeszcze raz serdecznie dziękuję za dobre serce drzeworytnicze, za okazaną mi życzliwość i serdecznie pozdrawiam.

Gustaw Morcinek.

Nie wiem, w jakim stopniu autorzy cytowanych słów zna ją się na grafice, ale obaj to wysokiej klasy artyści, którzy na pewno zawsze umieli od różnić sztukę od doskonałego nawet rzemiosła nie tylko we własnej dziedzinie.

Uciekłem więc do autorytetów znanych ludzi, choć sztuka Zgańskiego sama potrafi się obronić i głęboko przemawiać do odbiorcy. Jego drzeworyt uderza swą prostotą, ubóstwem faktury a nawet w pewnym sensie prymitywem posiadającym jednak urok ludowski. Sztuka bowiem Zgańskiego pełna jest motywów ludowych. Stroje szamotulskie, okoliczne ko-



Stanisław Zgański: „Sosna na wybrzeżu“

ciółki wiejskie, miejscowa baszta, w której dokończyła żywota piękna legendarna Halszka — to stałe powtarzające się tematy wielu drzeworytów artysty — samouka.

Najbardziej jednak umiłowana dziedzina jego twórczości były znaki biblioteczne — exlibrisy, których w swej spuściźnie zostawił blisko 70. Wykonywał je od roku 1934 aż do 1944 (kiedy to w 37 roku życia zmarł 14 października zamęczony przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym Gross Rosen) ludzimi najrozmaitszymi zawodów i zainteresowań oraz bibliotekom publicznym. Każdym exlibrisem z roku na

Pani Zgańska, wdowa po grafiku, rozkłada przedemną, całe stopy korespondencji swego męża i jeszcze większe — odbitek drzeworytniczych.

— A to, proszę pana, jego ostatnia praca „Nokturn Chopina“. Próba odbitka. Pracował przy niej tego wieczoru, kiedy po niego przyszli...

Była to pierwsza z prac do cyklu chopinowskiego. Nie ukończył go nigdy...

Rozmowa z panią Zgańską, nauczycielką we Wronkach przechodzi coraz częściej na tory prywatne. Mówi o tym jak się poznali, jak z początku każde musiało materialnie pomagać swemu licznemu rodzeństwu, jak jej mąż nie mógł z powodu trudnej sytuacji finansowej — dalej kształcić swych umiejętności, jak wreszcie z każdego spaceru wracał z plikiem kartek za pełnionych szkicami...

★

Stanisław Zgański, jak każdy artysta, był uczuciowy, a przy tym nerwowy i dość porwycy. Miałem przyjemność być jego uczniem w szkole powszechnej w Szamotułach, gdzie uczył rysunków i geografii. Wówczas jeszcze jako chłopak nie zdawałem sobie sprawy z jego wartości. Doskonale za to poznałem jego nerwy na skórze... szczęśliwie nie własnej. Pamiętam, że na lekcji geografii zagadało się o Paryż. Stojący przy mapie delikwent miał nieszczerście powiedzieć, że pochowany tam Chopin był... muzykantem. W Zgańskiego jakby piorun trzasł... A mój kolega długo potem na wspomnienie Chopina niedwuznacznie pociągał pewną część ciała i z pewnością już na całe życie zapamiętał jaka jest różnica między muzykantem, a muz-

(Ciąg dalszy na str. 3)

Wybrzeże! Z jak wielką ciekawością — myślałem — przed przeszło 500 laty przybywały tu tysiące Husytów, z jak wielką radością zażywały w Bałtyku kąpiele. Morze! Zamkniętą w naczyniach sioną wodę, jak świętość, nieśli z sobą do swojej czeskiej ojczyzny, opowiadając dziwy krewnym, znajomym, dzieciom i wnukom. Nie ma na Wybrzeżu ani jednego większego zakładu pracy, by nie zatrudniał kogós z Wielkopolski. Ten mariaż Wielkopolski z Wybrzeżem trwa chyba od czasów Mieszkowych. — Przypomnę tylko Przemysława II i Mściwoja, szlachcica spod poznańskiego Rogalina — Arciszewskiego, który nauczył Polaków żeglować; lata rozbiorów, międzywojenne i ostatnie, powojenne. A niejedną z młodych Wielkopolan, jak na przykład Stefan Krajka z powiatu gostyńskiego, poza zawodową pracą, studiując na politechnice budownictwo okrętowe. Rozmawiając z nimi, mogłem stwierdzić, jak bardzo zgłębianie, jak bardzo zgłębianie, jak stali się entuzjastami morza, współgospodarzami Trójmiasta.

Nie mogę nie odwieścić pewnego Wielkopolanina, który przybył na Wybrzeże, by pić za pominięcia zetrzeć ze starych klechd i baśni ludu rybackiego, zarzucając się głęboko w dzieje, łowiąc ciekawe zdarzenia, wydobywając na powierzchnię kroniki zmagania Kaszubów o lepszą przyszłość i o przynależność do Macierzy. Pracownia pisarska Francisz-

Złote runo poznańskiego argonauty

Józef Pieprzyk

ka Fenikowskiego obejmuje niewiele sprzętów. Szafy biblioteczne pełnią od książek. Na biurku gotowa do pisania maszyna. Tapczan i kilka wygodnych foteli zapraszają do odpoczynku. Piec, ozdobiony kafelkami z neolowskiego warsztatu. Z okna widok na przymorskie obronione lasem wzgórze. Ponoć w tym ustroniu lubiła spacerować królowa Marysieńka Sobieska.

Młody pisarz chętnie widzi u siebie gości z rodzinnego Poznania. Najwięcej bodajże, interesują go: uniwersytet, redakcje, środowisko twórcze. Tyle, co odebrał pachnący jeszcze drukiem swój tomik poezji. „Ziemia, gwiazda zielona“. Jest to bodajże, najpiękniej wydana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, książka. To zdaje się, czwarty tomik poezji Fenikowskiego.

A oto tyle, co ukończone 2-tomowe dzieło „Zaklęty zamek“. Maszynopis, zatwierdzony już do druku, liczy przeszło 800 stron. Przewracam kartki. Mrongowiusz i Ceynowa — buzdzielce ludu kaszubskiego sprzed stu laty, dalej poznaniak Stefański. Akcja toczy się w Wielkopolsce. Tematu Wiosny Ludów na Kaszubach i jej powiązań z ówczesnym Wielkim Księstwem Poznańskim przed Fenikowskim nikt z pisarzy nie podejmował.

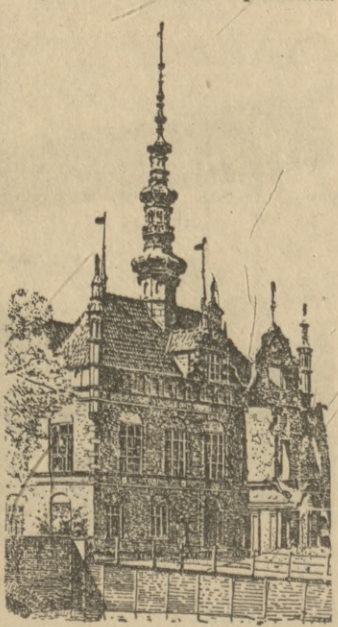
Na warsztacie XVI wiek — „Galeona Króla Jegomości“ — obraz z dzieł powstawał floty polskiej. Praca — jak wynika z rozmowy — nie łatwa, bo trzeba było zagłębić się w epokę, poznać zwyczaje i obyczaje, dzieje, sięgając nie tylko do polskich, ale szwedzkich nawet opracowań i kronik, nie omijając „Geschichte des Reiches Schweden“ z r. 1763, napisanej trudnym gotykiem. Po wieść prawie na ukończeniu. Ale pisarz jest bardzo wymagający.

— To, co napisałem jakoś mnie nie zadowala. Noszę się z zamiarem przebudowania całości. Chodzi mi nie tylko o rozszerzenie fabuły, ale i o jak najwierniejsze odtworzenie zwanego, starego Gdańska.

Ciekawie również się zapowia da „Szkatułka Gdańska“, do której autor włożył te legendy gdańskie, które nie znalazły się w „Łabędzim herbie“ (już II wydanie). Dla „Iskier“ przygotowuje specjalny tom opowiadań współczesnych. Czytelnicy „Twórczości“ mieli możliwość w ubiegłym roku zaznajomić się z jednym z nich, z „Kamieniem uśmiechem“. Dla dzieci czeka już na druk „Bursztynowe serce“.

Nie wiem, kiedy pisarz znaj-

duje czas na prace społeczne. Bo jest prezesem gdańskiego oddziału Zw. Literatów Polskich. Póki zdrowie pozwalało, był aktywnym działaczem Frontu Narodowego i oprócz tego po koleżeńsku pomaga ludowemu kaszubskiemu pisarzowi, rybakowi z dziada i pradziada



Ratusz staromiejski w Gdańsku

Może ktoś z Czytelników czytał „Kutry o czerwonych żaglach“? Wydał je „Czytelnik“. W tej chwili idzie do druku „Saga o szwedzkiej checzy“, a obecnie Fr. Fenikowski pracuje nad redakcją trzeciej książki Necla — „Mazopami spod rozewskiej glizy“.

— Zastępa Necla — mówi Fenikowski — polega na tym, że mocno tkwiąc w swoim środowisku, w swojej twórczości zamknął wiele spraw zanikających, zapomnianych już zwyczajów, a przede wszystkim kawał historii naszych rybaków.

Oto „Złote runo“ Franciszka Fenikowskiego. Bogate, bo liczące blisko 20 ksiąg, sześciu cych morzem, historią i dniem dzisiejszym Wybrzeża. Poznański argonauta zakochał się w Kołchidzie.

Późna pora. Rozmawialiśmy jeszcze o technice pisarskiej, o sprawach wydawniczych, o kłopotach i radościach dnia powszedniego. Wspomnieliśmy nasz wspólny „Kwartet nad Wartą“ — pierwszy powojenny poznański dyskusyjny klub literacki, który zmarł ongiś śmiercią naturalną. Serdeczne pozegnanie. On — pozdrowienia dla znajomych poznańców, ja — zaproszenie na któryś tam czwartek literacki.

TRYPTYK HISTORYCZNY

Laura i Filon

(Ks. XX.)

Chusteczki biały znak — na pożegnanie Sakariatem cierpień w oczach zatrzepotał, Szkaplerzem drwin zakończył łez różaniec ... Zapadł w odwilży błota.

W korytarzu alei panował wieczorny chłód. Drzewa szumiąc obejmowały się koronami zatopionymi w niebieskiej pomroce. Gęsty zielenią dach liści żywy, ruchliwy tworzył kopulaste sklepienie. Na drodze Filon i Laura. Jakby zwarte, nieprzezniknione sklepienie rozdarł grom jasnym toczący się niebem i padł w tej chwili u ich stóp na ziemię — stali bez ruchu kochankowie. A może zakłęci siłą zazdroznego bósta, w miłości swej skamienieli...?

Wreszcie poszarżała cierpieniem twarz odwraca Filon ku górze, jakby tam bezradnie szukając pomocy.

Laura inaczej. Raz jeszcze wyrzuca z siebie słowa potwierdzające prawdę tego, co kochanek dopiero usłyszał.

Odchodzi więc Filon w bolesnym zwątpieniu. Wolno, jakby wlokąc się za karawanem uśmierconej miłości. Rozpacz i bunt biją ogniem w piersi nieszczonego. Rozsadzają skute obręczami bólu skronie. Pierzchył marzenia. Nadzieje bezsensnych nocy dojrzenia przygasy. Jakby cofnęły się trwożnie przed koszmarem syczących gadów, łęgowskim cynizmem, niewiarą.

Oto butny w swej pysze satrapa — niewąstny władca Kapitolu, gwałcąc prawa spługawil cześć człowieka. Depcąc miłość i wiarę znieważył cześć Laury. Zwałł się mityczny bóg pod ciężarem nieokleśnianej rżadzy władzy. Przekleś...

Filonie, któż oltarz, na którym ponaś wiecznym zniczem, zburzyć zdoła, w tani zamieniając go bazar — ikonę lichwiarzy?

Czyż prawda być nią przestała? Słowa odbiciem myśli, a dłoń uściski serdeczne przestały być odruchem serc wczubanych tęsknotą?

Filonie! odszedłeś nękany cierpieniem zwątpienia...

Lauro! on wróci — jeśli kocha cię więcej od siebie.

Z biografii rodowej

(Jurnal — Ks. XII.)

Na przekór prawdzie — zabici nie giną — We wspomnieniach żywych bólem

Słów niebacznych zaprawionych śliną — Nie cofniesz. Zabijają...

„Całe życie poświęcił ukochanej matce. Towarzyszył jej w pracy nad usuwaniem zniszczeń wojny. A tych piękny jego dom doznał wiele. Minęły trzy lata. Znojne dla całego rodu. Radosne trudem, choć niebogate. Ale potrzeby rosły i oto następnych sześć lat — to drugi okres — minęło na skrzętnym gromadzeniu środków do dalszej budowy. Znowu praca i nie kończący się łańcuch wyrzeczeń. Dziwili się ludzie, podziwiali wspaniały ród pracowitych. A matka chwalać synów nie zapominała o najmłodszym.

— Patrzcie — mówiła — na równi ze starcami pomaga. Jest odważny i dumny z tego co robi.

I Jurnal był dumny. Rósł i krzepł. Natężniony mądrością matki po jedenastu latach doświadczeń przeszedł chłopak do samodzielnych czynów. Przybyło mu powagi i śmiałości. Czy błądził niekiedy...? To jedno jest pewne, że nieprzejednany tępił zło, zakradające się do rodzinnego gniazda.

Jurnal zawsze z dumą mówił i myślał o stryju, którego szczególnie cenil: za jego prawy charakter, szczerść, za pomoc, jakiej często ich dom doznawał od niego. Ale tym razem Jurnal nie spodobał się stryjowi.

Jurnal nie wierzył uszom, gdy zazwyczaj taktowny wzór jego ideału obrzucił chłopaka szorstkimi słowami.

— Dostało się Jurnalowi, dostało — mówili potem i ci, co lubili uczciwość i szczerść Jurnal. Zjadliwie powtarzali to samo nienawistni mu kłusownicy, których śmiech przypominał syk żmii.

W pamiętniku Jurnal z tego okresu historycy znaleźliby takie słowa:

„Mój stryju, nie zapomniawszy chyba, że prawdziwej przyjaźni strzec trzeba nie tylko dobrymi chęćmi. Nawet czyni nie zawsze mają wystarczającą moc tam, gdzie zabraknie najpiękniejszej postawy: wewnętrznego szacunku.

Ale i tak na pewno nie zdradzę naszej przyjaźni — siły naszego rodu. Poznałem już gorzkie niebacznych słów...“

Wyrok

(Westalki — księga ostatnia)

Tak więc kiedy zabraknie maszynisty A sam doświadczonym żeś palaczem — Przeklinasz wiatr co w oczy dmie

zawistny

... pauper ubique jacet?

Wieczór. Świątynia pełna ciszy. Marmury ścian i sklepień piły zmrok. W blasku wiecznego ognia jaśniał wieniec białych, gładkich ciał Westalek. Nieczułe na przepych architektury trwały w bezruchu. Każda z brodą opartą na dion. Milcząc, wsłuchane jakby w szmery niespokojnych myśli współtowarzyszek. Uderzająca ich bladeść w blasku świętego ognia kontrastowała z cieniem mrocznych kolumn.

Wierne spełniając szczytne posłannictwo, zostały zapomniane. Daremnie czekały chociażby posiłku. Minęły długie dni. A gdy coraz słabsze światło płomienia chwiało się, jak kwiat niedostrzeżalnym poruszany wiatrem — czarny ptak nocy, czarne rozpostarł skrzydła. Śliskim lotem nietoperza nawleka dziewicz serca, sącząc w nie chłód marmuru. Zwodniczy głos mroków — jak syk jadowitych żmii, pełzających po kątach podszeptuje myśli buntu.

— Cóż począć — wydarło się ciche westchnienie z ust udręczonych. Gdy jeszcze i jutro nie przypomną nas sobie...

— Co robić wypadnie? Woiać? Nie usłysza chyba, głusiado woleniem kapłani.

W trwożne pytania wdiera się głos cieni. Głos złego doradcy...

Zwątlenie i gorzcy cięższe od ciemności. Ślabinie wola wytrwania. Rośnie niema rozpacz. I gdy dzień wstaje — kapłanki rzuciły świątynię.

A ogień wieczny?

Na ulicach gwizdał wiatr, bijąc trwogą o gonty opustoszałych pałaców. Ponuro szumiały pinie.

Znicz bogów samotnie płonął... Spadł gniew na miasto.

— Zbudźcie się nieczuli słudzy mego domu — ozwał się głos Najwyższego: — Ukazcie nieczułych kapłanów, którzy w żarliwych modlitwach posnęli! Ukazcie siły nocy, co jątrzą kiedy nie stały waszej czujności! Westalkom godność przywrócić należy! Niech ognia znowu strzegą w świątyni; niechaj w ich dioniach tęcza załśni jak przysięga, że już nie będą tak karać swych bogów.

—:—

Wszędzie na świecie są ludzie i prawda i mrok i ogień.

Henryk HELLER

Teoria i praktyka polskich atomowców

(API). Jednym z sześciu zakładów, podległych Instytutowi Badań Jądrowych Polskiej Akademii Nauk, a zajmujących się badaniami jądra atomowego, jest Zakład II w Krakowie, prowadzony przez prof. dr. Henryka Niewodniczańskiego. Placówka ta posiada w dziedzinie fizyki jądrowej poważny dorobek, który wzbudził już zainteresowanie naukowców zagranicą.

By zorientować naszych Czytelników, co było i jest przedmiotem dotychczasowych prac naukowców Zakładu Fizyki w Krakowie, by wykazać, jak przebiega droga od teorii do praktyki, poprosiliśmy prof. Adama Strzałkowskiego, który zastępuje nieobecny w tej chwili w Krakowie prof. Niewodniczańskiego, o udzielenie nam wywiadu na temat pracy zakładu.

— Jak się przedstawiają dotychczasowe badania przeprowadzane przez zespół Zakładu?

— Każda z sześciu pracowni pracuje nad innym tematem. Tak więc jedna z pracowni, po przygotowaniu aparatury, przystępuje do badań rezonansu jądrowego i jego zastosowania do dalszych badań z pogranicza fizyki i chemii. Pracownia spektrometrów gamma i beta montuje spektrometry i zajmuje się badaniami widm promieni beta i gamma, wysyłanych przez jądra atomowe. Oddzielni zespół zajmują się montażem małego cyklotronu. W mojej pracowni studujemy obecnie doku mentację radziecką dużego cyklotronu, a po jego nadejściu będziemy go montować, pracownia zaś reakcji jądrowych na razie przygotowuje się teoretycznie do pracy z cyklotronem.

— Które prace zwróciły na siebie uwagę zagranicy?

— W ubiegłym roku na konferencji w Genewie zainteresowano się naszymi badaniami struktury cieczy, których dokonujemy metodami neutronowymi. Na tegorocznej konferencji w Lizbonie duże uznanie jej uczestników znalazła praca doc. Janika, dotycząca rozpraszania powolnych neutronów ze względu na jej praktyczne zastosowanie w budownictwie. Drogą pomiaru rozproszenia powolnych neutronów można badać wilgotność murów i gruntów. W Krakowie wykorzystaliśmy tę metodę m. in. do badania wilgotności murów kościoła św. Katarzyny. Dotychczasowa metoda naruszałaby cenne freski, jakimi pokryte są ściany tej XV-wiecznej budowli.

— Jaki wpływ na rozwój badań Zakładu będzie miało uruchomienie dużego cyklotronu?

— Możliwość naszych badań reakcji i przemian jądra atomowego ogromnie wzrosła. — Rozwój naszych prac wiąże się zresztą nie tylko z cyklotronem, ale w ogóle z otrzymaniem nowego pomieszczenia. Dla przykładu w obecnej siedzibie nie możemy nawet wykorzystywać zmontowanego przez nas generatora, ponieważ w pokojach, znajdujących się o piętro niżej, mieszkają ludzie, uzyskiwane zaś poprzez generator promienie gamma działają szkodliwie na organizm człowieka. Oczywiście — problem ten od dawna mógłby nie istnieć i prace nasze mogłyby toczyć się bez przeszkód — gdyby władze miejskie Krakowa

Serce drzeworytnicze

(Dokończenie ze str. 2)

zkiem. Mimo wszystko Zganiński był przez nas lubiany. Na jego zajęciach musiała panować cisza jakby makiem zasiał. Jedyny wyjątek stanowiła ostatnia w roku lekcja rysunków. Sadał wówczas przed sobą najlepszego w klasie rysownika i w nagrodę robił mu portret. Wówczas wszyscy stawali obok i przyglądali się pracy nauczyciela. Ale za głośno też się nie można było zachowywać. Stanisław Zganiński — chłuba Szamotuł czeka na monografię. Zasłużył sobie na nią. Warto by do tego wykorzystać okazję jubileuszu 500-lecia istnienia miasta.

Marian FLEJSIEROWICZ

wa miały więcej zrozumienia dla wagi i znaczenia naszych prac.

— Czy mógłby Pan obszerniej sprzecyzować funkcję cyklotronu?

— Cyklotron umożliwia dokonanie różnego rodzaju przemian jądrowych. Urządzenie to pozwala na przyspieszenie jonów do dużej energii, jony zaś o dużym natężeniu i dużych energiach mogą bombardować rozmaite jądra, wywołując reakcje jądrowe. Będziemy mogli wytwarzać też w pewnych ilościach własne izotopy promieniotwórcze, których nie można będzie utrzymać w reaktorze warszawskim, a na które już czekają z niecierpliwością nasze placówki lecznicze, rolnicze, techniczne. Uruchomienie cyklotronu pomoże rozszerzyć zakres prac nad reakcjami, wywoływanych przez deutrony, a następnie przez protony oraz nad reakcjami fotojądrowymi.

— Czy pomoc Związku Radzieckiego konkretnie dla Zakładu w Krakowie ogranicza się do przekazania cyklotronu?

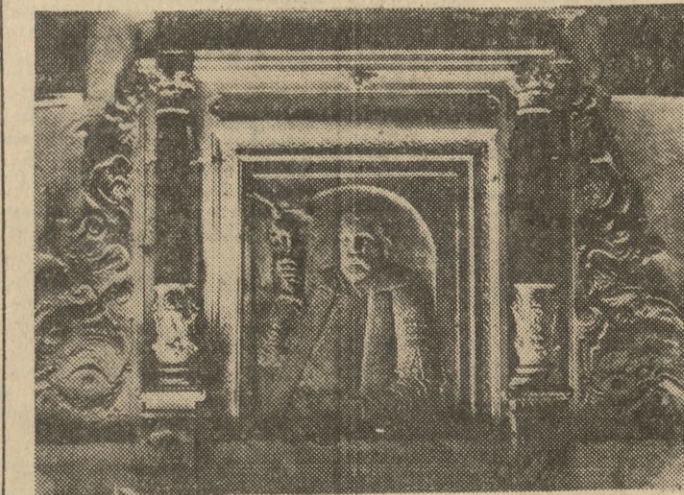
— To byłoby zbyt wielkie za wężenie. Ja osobiście i kilku moich kolegów z zakładu korzystamy z tej pomocy od dawna. M. in. byliśmy na 3-miesięcznej praktyce w Związku Radzieckim, gdzie mieliśmy możliwość zapoznać się nie tylko z konstrukcją i eksploatacją cyklotronu, który otrzymamy, a co było głównym celem podróży, ale udostępniono nam największe i najnowocześniejsze urządzenia i aparaty, jakie posiadają zakłady w Kijowie, Moskwie i Leningradzie, dla prowadzenia najrozmaitszych doświadczeń. Jak wiadomo, postępy atomowców radzieckich — dzięki wspaniałemu wyposażeniu laboratoriów, posunęły się bardzo daleko. Ich doświadczenia i prace, z którymi chętnie się dzieliłi, były dla nas bardzo cenne.

Rozmowę przeprowadziła Tomira LIPińska

ZE STARYCH SZPARGAŁÓW

W Bibliotece Kroniki Miasta Poznania w roku 1933 ukazała się w pracy dr. Heleny Szafrankowej krótką wzmianka o Wielkopolskim, Janie Zemeluszu, który w roku 1602 zapisał 1.000 dukatów w złoście na założenie pierwszej katedry botaniki w Polsce.

Oto wszystko, co oficjalnie podano do wiadomości w okresie przed wojennym o tej postaci. W okresie powojennym mialem możliwość zapoznania się z wynikami pracy naszego aktora scen poznańskich —



Pomnik doktora filozofii i medycyny Jana Zemełki w Koninie. Fot. Józef Sypniewski

mgr. Józefa Strumińskiego. Praca jego, niestety, nie została ogłoszona drukiem.

W kościele farnym w Koninie, w stylowej renesansowej kaplicy stoi marmurowy pomnik. Napis pod nim umieszczony głosi, że tu leży Jan Zemełka, doktor medycyny i filozofii, zmarły w roku 1607 w Koninie w wieku lat 83.

W księgach konińskich z XVII wieku znajdują się wiadomości o domu Jana Zemełki, stojącym w rynku. W księgach Kalisza mamy wiadomości o burmistrzu — Janie Zemełce. Wszystko to razem daje możliwość naszkicowania historii tej wyjątkowej postaci polskiego Odrodzenia.

Jan Zemełka był synem pańszczyźnianego chłopca z dóbr klasztoru Benedyktynów w Tyńcu pod Krakowem. Używany do posług w klasztorze, rozpoczął pierwsze kroki w zdobywaniu umiejętności czytania i pisania. Okazał wielkie zdolności. Tak wielkie, że n'e zważając na jego pochodzenie zdecydowano się go kształcić. Jako stu-

na tropach MUZY

Dziecko na ekranie

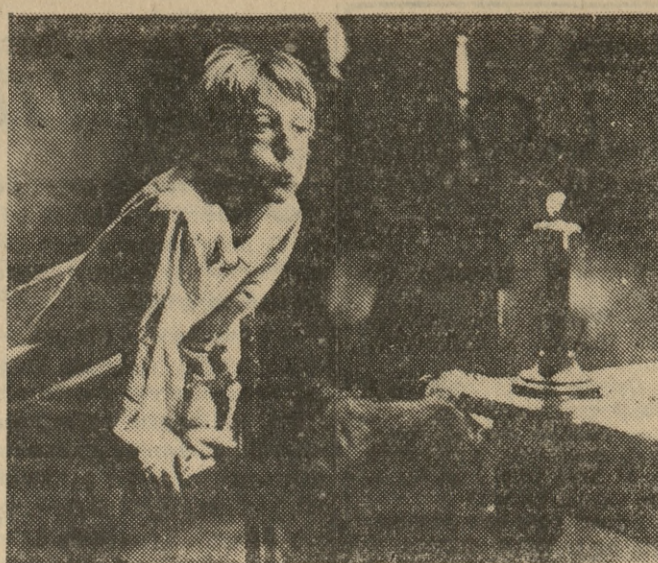
... Mały uciekinier wędruje bez troski po plaży, zagubiony wśród dorosłych, nieznanych ludzi. Nie ma tu mamy, nie ma starszego brata — jest wolna przestrzeń napelniona słońcem. Można chodzić gdzie nogi poniosą, ba — wolno zbierać puste butelki i zamieniać je na porcje słodkich lodów.

Mały jest bohaterem całej gęby. To właśnie on, jego swobodna waleśanina kieruje okiem widza. Na krótki czas przestaliśmy być ludźmi dorosłymi. Świat oglądamy oczami dziecka...

... Carrote zdmuchnął świeczkę kładzie się do łóżka. W sąsiednich pokojach zasypia jego rodzina, bliska, a jakże daleka. Mały boi się. Boi się ciemnego pokoju. Boi się tego, co dorosły, zrównoważony człowiek kwitując lekceważącym uśmiechem. Małe, samotne dziecko...

Sceny te wyjąłem z dwóch wybitnych filmów: Bibermana „Mały uciekinier” i Duviviera „Rudzielec”. Niejednemu widzowi dostarczyły one głębokich wzruszeń. Dlaczego? Krzywdą wyrządzoną dziecku jest krzywdą podwójną: dziecko nie potrafi się bronić. Smutek w oczach dziecka, jego pierwsze konflikty z niezrozumiałym dlań światem dorosłych — są zawsze bardziej tragiczne niż konflikty ludzi dorosłych. Tak, to czuje i rozumie każdy. Na sprawy dzieci jesteśmy bardziej uczuleni niż na inne. A jednocześnie tak często nie dostrzegamy ich. Dziwni jesteśmy, my ludzie dorośli...

Dziecko na ekranie — jakież to wdziczny a jednocześnie trudny temat. Jakże tu łatwo o płaskie moralizatorstwo z wyżyn „dorosłości”, o sztuczne ilustrowanie przy pomocy dziecka też wychowawczych (np. „Majewody z VII b”).



Scena z filmu „Rudzielec” Duviviera.

Odtworzenie wrażliwej, bogatej i tak odrębnej psychiki dziecka — wymaga nie lada umiejętności. Trzeba przede wszystkim wielkiej znajomości dzieci, drobniagowej obserwacji ich zachowania się w najrozmaitszych sytuacjach. U nas tylko Jakubowska w „Opowieści atlantyckiej” (filmie jako całość raczej nieudany) wprowadziła na ekran ciekawe i prawdziwe postaci dzieci. Świat małego człowieka stale jeszcze czeka na swego odkrywcy.

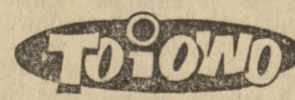
Dziecko na ekranie — to niełatwy problem również z punktu widzenia samego warsztatu reżysera. Mówi się często: „Ach, jak ten mały cudnie gra!” Tymczasem dzieci nie grają. Nie grają w sensie świadomego aktorstwa. Nie przypadkiem na scenie teatralnej, gdzie sztuka aktorska odgrywa rolę o wiele donioślejszą niż w filmie, dziecko jest zawsze epizodycznym gościem. W przedszkolu czy w domu potrafi na przykład udawać koniką, czy naśladować „pana profesora”, ale ustawione przed kamerą niezmierznie rzadko pojmują sens fikcyjnej fabuły i jego w niej udziału. Zwłaszcza że poszczególne sceny nie nakręca się w takiej kolejności, w jakiej są wyświetlane na ekranie. Toteż sceny z dziećmi trzeba realizować inaczej niż sceny z aktorem dorosłym. Płacz, śmiech czy przestach wywołuje reżyser najczęściej poprzez sytuację doraźnie zaaprobowaną, na ogół nie mającą związku z tą, którą dyktuje akcja filmu.

W rezultacie dziecko śmieje się przed obiektywem najczęściej zupełnie z czego innego niż myśli widz. Ale to już są sprawy reżyserskiej kuchni.

Kiedy szukam w pamięci filmów, które wzruszyły mnie najbardziej, często znajduję w nich twarz dziecka. Począwszy od niezapomnianego „Brzdąca” Chaplina, i niektórych filmów z „Shirlejką”, poprzez „Dzieci ulicy” de Siki, wspo mnianego już „Rudziełca” i „Małego uciekiniera” do „Białej grzywy”, jednego z najpiękniejszych filmów o dziecku. I oto znów staję jak świat konflikt między dzieckiem a dorosłym człowiekiem. Konflikt między pełną poezją przy jaźnią dziecka do zwierzęcia — a twardą kalkulacją właścicieli stadniny. Więcej nawet — historia „Białej grzywy” wyraża jakąś bardzo ludzką tęsknotę do przyjaźni z naturą w ogóle, której to przyjaźni staję w poprzek twarda, życiowa konieczność. Tu już wykraczamy poza problematykę dziecka, wchodzimy w atmosferę Steinbeckowskich „Myszy i ludzi”, w problematykę jak najbardziej „dorosłą”. A jednak znalazła ona pełny, artystyczny kształt w przeży ciach dziecięcego bohatera. Mały chłopak w krótkich porciach wzbudza w nas refleksje na miarę sztuki szekspirowskiej.

Kilka miesięcy temu dowiedzieliśmy się, że czołową nagrodę na międzynarodowym festiwalu zdobył film pt. „Czerwony balonik” Lamorisse’a. Z perspektywy troski i problemów dorosłego człowieka temat tego filmu — może wydać się banalny. Jest nim przyjaźń małego chłopca do czerwonego balonika. Tylko tyle... To „tylko tyle” oznacza jednak dla dziecka — cały świat. Świat, który zna swoje własne radości i smutki, uśmiechy i łzy, tęskni i zwycięstwa, a obok którego tak często przechodzimy obojętnie, zapędzeni życiem. Kto wie — może właśnie dlatego tak bardzo lubimy filmy o dzieciach?

Janusz BINIEK



JAKIE SZANSE MA KOBIETA,

aby urodzić bliźnięta? Ciekawą statystykę na ten temat opracował lekarz amerykański Allan F. Guttmacher. Okazało się, że urodzenie bliźniąt, trojaczek, a nawet czworaczek zależy między innymi od wieku oraz ilości dzieci, które matka poprzednio już urodziła. Kobiety poniżej 20 roku życia mają bliźniaki w stosunku 6 na tysiąc żywych urodzeń, podczas kiedy kobiety w wieku od 35 do 39 lat rodzą bliźniaki prawie 3 razy częściej (17 na 1.000). Powyżej 39 roku życia kobiety zaczynają rodzić bliźniaki coraz rzadziej, tak że w 45 roku życia stosunek kształtuje się podobnie jak w młodym wieku — 7 na 1.000. Dr Guttmacher stwierdził statystycznie, że wiodące porody spotyka się bardzo często wśród Mongołów. W Stanach Zjednoczonych czworaczki wśród „białych” spotyka się w stosunku 1 na 570.196, wśród Murzynów w stosunku 1 na 237.397; trojaczki 1 na 9.323 urodzeń i odpowiednio u Murzynów 1 na 5.631. Bliźniaki natomiast prawie jednakowo często spotyka się wśród „białych” i Murzynów, gdzie stosunek kształtuje się 1 na 92,4 i 1 na 73,8 urodzeń. Kobiety, które już urodziły, mają więcej szans na urodzenie bliźniaków. Sześcioraczki nigdy nie przeżyły dłużej niż 24 godziny.

FABRYKI DUNSKIE rozpoczęły produkcję nylonowych śrub okrętowych. Śruby te nie rdzewieją, nie wymagają czyszczenia, malowania i nie łamią się. Na razie tego rodzaju śruby przeznaczone są dla statków o średnim tonażu. Jednak już w najbliższej przyszłości mają znaleźć zastosowanie na dużych statkach oceanicznych.

Czy cię już?

STANISŁAW GERSTMAN: — „Wpływ rodziców na zaburzenia emocjonalności uczniów”. Toruń 1956, PWN, s. 178, zł 23.00.

Praca ta, oparta na założeniach pawłowizmu, dotyczy sprawy oddziaływania surowego systemu wychowawczego rodziców na dzieci uczęszczające do szkoły. Badania przeprowadził autor w kręgu 30-rodzinnej grupy, w której wychowuje się 30 chłopców o normalnych przejawach emocjonalnego życia. W wyniku badań autor doszedł do wniosków, że surowe oddziaływanie obojga rodziców wywołuje u dzieci chroniczne stany lękowe, że szczególnie ważnym źródłem lęków jest nieopanowane, gwałtowne zachowanie się ojca i że osoba ojca jest najsilniejszym bodźcem napięć lękowych. W zakończeniu tej nadzwyczaj ciekawej pracy, przeznaczonej zarówno dla pedagogów-naukowców, praktyków jak i dla rodziców, wysuwa autor pewne wnioski praktyczne oraz perspektywy dalszych badań.

Za mało o sztuce

Zapotrzebowanie na publikacje o sztuce jest wielkie i każda ukazująca się z tej dziedziny książka czy album rozchodzi się natychmiast. Mimo stale wzrastającej w ostatnich latach ilości tytułów dalej jesteśmy od zaspokojenia pierwszych nawet potrzeb rynku.

Stale odczuwa się brak takich zasadniczych pozycji, jak ogólne opracowanie dzieł sztuki czy historia sztuki polskiej. Wydana przed półtora rokiem „Historia sztuki” P. Laveadana, tłumaczona z francuskiego, nie jest przeznaczona dla czytelnika-laika, pragnącego zdobyć trochę wiadomości o sztuce, jest to materiał dla studentów, wykładowców i historyków sztuki. Warto by więc pomyśleć o wydaniu popularnej książki, uczącej patrzenia na dzieło sztuki i rozumienia jej wartości. Tego rodzaju publikacje z roku 1948 (St. Szuman: „O oglądaniu obrazów”, J. Starzyński: „Jak patrzeć na dzieło sztuki”) są już od wielu lat zupełnie wyczerpane.

Popularyzacji sztuki polskiej podjęło się w swoim czasie w dawnictwo „Wiedza Powszechna”. Począwszy od 1947 r. wydało ono blisko piętnaście monografii popularno-naukowych. Nie wdając się w merytoryczną ocenę tych pozycji, należy podkreślić ich doniosłą rolę w zaznajamianiu czytelników z twórczością naszych czołowych artystów. Niestety, w czasie ostatnich trzech lat „Wiedza Powszechna” wypuściła tylko jedną pozycję (St. Kozakiewicz: „Canaletto”). Niezależnie od przyczyn tego rodzaju wstrząsów pięknie rozwijającej się akcji wydawniczej należy uważać za zjawisko ujemne.

Inny typ monografii przedstawia wydawnictwo PIW-u. Do tychczas ukazał się z tego cyklu: „Aleksander Kotłowski” (w opracowaniu J. Zanozickiego), „Canaletto, malarz Warszawy” (M. Wallis) i „Henryk Rodakowski” (A. Ryszkiewicz). Rzeczowo i przystępnie opracowane teksty, ciekawe i bogate zestawienie ilustracji, wśród których nie brak dobrych barwnych reprodukcji, wreszcie estetyczny sposób wydania — oto wartości, które z wydawnictw PIW-u czynią cenne pozycje bibliograficzne, poszukiwane w kraju i zagranicą. Dodajmy tu jeszcze, że pozycja albumowa „Malarstwo obce” (w zbiorach polskich), również wydana przez PIW, wywołała dużą sensację na rynku księgarskim i niemal momentalnie została rozchwytana.

Państwowy Instytut Wydawniczy ma na swoim koncie szereg małych książeczek-monografii poszczególnych artystów z cyklu: „Klejnoty sztuki polskiej” („Kaplica Zygmuntońska”, „Głowy wawelskie”, „Drzwi gnieźnieńskie”, „Tryptyk z Pławna”, „Kazanie Skargi”, „Bitwa pod Grunwaldem”). Szkoda, że wyszło ich tak mało.

Warto wspomnieć o wydanych przez „Sztukę” tzw. składowkach, zawierających na paru stroniczkach krótkie biogramy malarzy polskich, reprodukcje ich dzieł, znajdujących się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Poza małym nakładem składanki te posiadają jeden generalny brak: wszelkie reprodukcje są jednobarwne. A przecież w malarstwie decydującą rzeczą jest kolor. Podobne składowki, wydawane na Węgrzech i w Rumunii, zawierają po jednej do dwóch reprodukcji barwnych. Czyżbyśmy nie mogli sobie na to pozwolić?

Gorsza sprawa jest ze sztuką obcą. Poza wydaną przez „Ossolineum” „Sztukę rosyjską” — Wojstawa Molé (pozycja o charakterze podręcznikowym) nie mamy żadnych ogólnych opracowań. Nie ratują sytuacji katalogi zbiorów warszawskiego Muzeum Narodowego. Są to bowiem pozycje przeznaczone za równo dla specjalistów, jak i dla laików.

Z monografii ukazała się tylko jedna pozycja, mianowicie wydany przez „Sztukę”, „Caravaggio” — J. Białostockiego. — Jeżeli książka ta zapoczątkuje cykl dobrze opracowanych, ciekawych monografii o artystach obcych różnych epok — to będziemy mogli z powodzeniem konkurować z podobnymi wydawnictwami zagranicznymi. Jak radzieckie „Iskusstwo”, angielski „Hyperion” czy francuskie „Cercle d'Art”.

Andrzej KOSSAKOWSKI

Henryk Jantos

APOLLO

OPOWIADANIE

Chłopiec siedział z nogami ukrytymi po ławkę. Nieufnym okiem zerknął czasem na swego sąsiada. Dziwny człowiek. Rysuje coś ciągle łaskę po ubitej mocno nawierzchni alejki. Gada przy tym jakieś niezrozumiałe rzeczy. Czasem ścisną łaskę w dłoń aż kości napiętką stają się białe. Żółto-białe.

— Ty harcerz, co?
— Aha.
— Widzę, widzę.

Chłopiec poruszył się nie spokojnie. W głosie starego zabrzmiało szyderstwo.

— Widzę. Czerwona chułka na karku wisi jak grzebień u koguta. Jeszcze trochę a skoczysz i dzłobać zacznie. Mundurek spod igły. Czyściutki, odprasowany. Mamusia ma złote rączki, co? Cacany chłopczyk. A na wycieczki jeździsz? No, na pewno. Dbają o was, dbają jak o buhajków. Ja też byłem harcerzem. Tylko nie chodziłem w mundurku i bez tych kolorowych łasek.

Chłopiec nadstawił uszu.
— Zwędziło się mój drogim latem trochę pomido-

— Nie, nie, proszę opowiadać.
Staremu zaświeciły się oczy.

— Widzisz dogadaliśmy się. Harcerz z harcerzem, co?

Usiadł blisko chłopca i objął go ramieniem.

— Jakbyś chciał usłyszeć o moich przygodach musiałbyś wpaść do mnie. Do domu. Dobra?

Przeciągnął otwartą dłoń po plecach chłopca.

— Mocny chłopczek z ciebie. Bary jak u Herkulesa, psiakosć. Ja w twoim wieku chuchro byłem.

Ręka starego zaczęła głazieć wygięty, lekko pochylony grzbiet chłopca. Spacerujący mogliby sądzić że to ojciec z synem spędzają ciepłe popołudnie na pogawędce.

— Proszę pana, co pan robi?

— Nic, nic. Przyjdiesz do mnie prawda? A jak chcesz możemy iść zaraz. Powiedz?

— Niech mnie pan puści! Panie! Mamusiuuu!

Stary w jednej chwili znalazł się na przeciwnym końcu ławki. Znow



Rys. L. Kapczyński

rów z ogrodu księdza plebana — trochę — marnych parę słoneczników, kartofli ma się rozumieć też i do lasu. To była frajda. Ogień strzelał, dym w gardle łaskotał, od chłodnej ziemi tylek drętwiał co prawda, ale było przyjemnie. Oj, jak przyjemnie. Ubranie tak dynem przeszło żeś bracie smierdział niczym wędzony śledź. Ile to razy ojciec kij za to na grzbiecie połamał. Ale co było robić, natura do lasu ciąg nie wilka. A my jak młode wilezki, lubiliśmy w krzakach siedzieć, po norach się chować. Najbardziej lu biłem podchody. Stoisz człowieku sam przy ognisku a naokoło ciemno jak za przeproszeniem nie wiem gdzie. Tylko w odblasku ognia cienie drzew się wloczą. Cały zamieniasz się w jedno wielkie ucho. Słuchasz! Wytrzeszczasz ślepią na krzaki, myślisz: stąd wyskoczą. Spreżasz się cały... A tu cisza. Gałązka trzasnęła z tyłu. Obracasz się. Cisza. Na psychologię cię brali. Dobijali wyczekiwaniem. No co, nudzisz się?

bił łaskę w ziemię. Chłopiec poderwał się i ile sił w nogach popędził w kierunku brzojny parkowej. Popędził? Stary spojrział za nim i szeroko otworzył oczy. Te nogi, które wyda wało się sprężyste poniosły młode, krępkie ciało, okazały się suchymi, szkaradnymi patykami. Zaha czały co chwila jedna o drugą przypinając cały korpus o jakieś nieskoordy nowane, nerwowe drgania. Z początku wydawać się mogło że chłopiec zmierzając do domu wyładowuje resztki nieużytej w całodziennej bieganiu energii. I wtedy bawic może ta ki widok. W chwilę później jednak ze wstydem trzeba odrzucić myśl o grotesce i pochylić głowę przed wiel ką ludzką tragedią.

Człowiek z łaską podniósł się z ławki i chwilę patrzał za migaającym wśród zieleni czerwonym trójkątem harcerskiej chu sty.

— Apollo, psiakrew!

Tfu!
Obrócił się na pięcie i z godnością pomaszerował w głąb parku.

BERTOLT BRECHT

Gdyby rekiny stały się ludźmi

Gdyby rekiny stały się ludźmi — zapytała panna K. mała córeczka jego gospodyni — czy byłyby miłsze dla małych rybek?

— Na pewno — odrzekł. — Gdyby rekiny stały się ludźmi, wybudowałyby dla małych rybek w morzu olbrzymie skrzynie, z wszelką żywnością wewnątrz, zarówno roślinami jak i zwierzyną. Dbalyby o to, aby skrzynie miały stale świeżą wodę, i w ogóle przedsięwzięłyby wszelkie środki sanitarne. Wyobraź sobie, że na przykład rybka ma skałeczone płetwy; rekiny natychmiast robią jej opatrunek, aby nie zmarła im przedwcześnie. Aby rybki nie popadły w melancholię, urządził się od czasu do czasu wielkie święta wodne: ponieważ wesołe rybki lepiej smakują od posępnych. Zorganizuje się naturalnie również szkoły w tych dużych skrzyniach. W tych szkołach rybki uczą się, jak należy wpaść w paszczę rekina. Będzie im na przykład potrzebna geografia, aby mogły odnaleźć wielkie rekiny, które spoczywają gdzieś leniwie. Naczelnym zadaniem stanie się oczywiście moralne wykształcenie rybek. Pouczą je, że najlepiej i najpiękniej jest, gdy rybka radośnie poświęci sama siebie, że wszystkie rybki muszą włożyć rekina w łono, wówczas, gdy te obiecują dbać o piękną przyszłość. Rybki przekonają się, że tę przyszłość zapewnią sobie tylko wtedy, gdy będą się posłusznie uczyły. Rybki będą musiały wystrzegać

się niskich, materialistycznych, egoistycznych i marksistowskich skłonności i natychmiast donosić rekinom, gdy któraś z nich będzie zdradzała tego rodzaju skłonności. Wyobraźmy sobie, że rekin stają się ludźmi — będą one prowadzić oczywiście wojny, aby zdobywać nowe skrzynie z rybami. Wojny pozwolą toczyć swoim własnym rybkom. Pouczą je, że między nimi a rybkami istnieją różnice. Wmówią, że rybki będąc — jak wiadomo — nie-milczą w różnych całkowicie językach i nie mogą w żaden sposób między sobą się porozumieć. Każdej rybce, która zabije w walce kilka innych, wrogich, w obcej mowie milczących rybek, przypną mały order z szuwara i ogłoszą ją bohaterem. Gdyby rekin stają się ludźmi, stworzyłyby oczywiście sztukę. Powstaną więc obrazy, na których kły rekina ukażą się w pięknych barwach, ich paszczę jako wspa niałe ogrody, wśród których można z radością biegać. Teatry na dnie morza przedstawiałyby, jak odważne rybki wpadają za chwycione w paszczę rekina, zaś muzyka będzie tak piękna, że rybki przy jej dźwiękach, z orkiestrą na czele, marzące i uśpione pognają w paszczę rekina. Również religia istniałaby, gdyby rekin stają się ludźmi. Pouczyłyby one, że rybki zaczynają naprawdę żyć dopiero w brzuchu rekina. Poza tym, gdyby rekin stają się ludźmi, skończyłaby się panu-

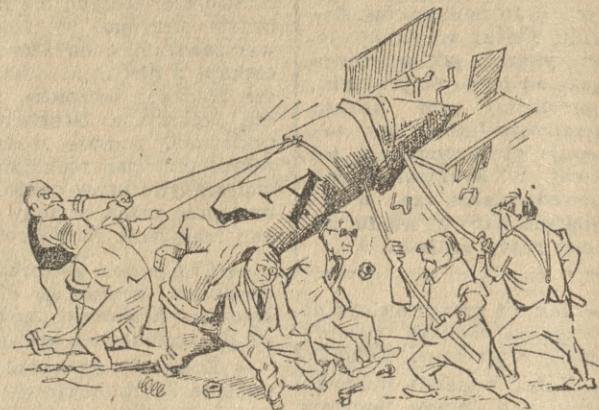
jąca obecnie równość między rybkami. Niektóre z nich otrzymają stanowiska i staną ponad innymi. Nieco większe będą mogły nawet pożerać nieco mniejsze. Rekin osiągną większą przyjemność, będą bowiem polowały częściej grube ryby. A te większe, zajmujące stanowiska, będą dbały o porządek wśród rybek, staną się nauczy-

cielami, oficerami, inżynierami budowy skrzyń itd.

Krótko powiedziawszy, dopiero wówczas powstałaby w morzu jakaś kultura, gdyby rekin stają się ludźmi.

Przełożył Stanisław Wygodzki

Niektóre kola imperialistyczne w dalszym ciągu opowiadają się za zbankrutowaną polityką „z pozycji siły”.



ROZPAD ATOMU

Bajka chińska

O czarnym żółwiu i uczonym

Uczony drugiego stopnia nazwiskiem Ku wybrał się do Pekinu zdawać egzami ny. Gdy w drodze martwił się wieczorem na brzegu szerokiej rzeki, że nie może przedostać się na przeciwną stronę, ujrzał dużego czarnego żółwia.

— Bracie czarny żółwiu — rzekł uprzejmie uczony — czy nie przewioźlibyś mnie przez rzekę?
Żółw, który lubił poezję, odpowiedział mu:
— Bardzo chętnie, ale w zamian przeczytasz mi kilka wierszy!

— Niech tak będzie — zgodził się Ku — przeczytam ci dwa wiersze na tym brzegu i dwa na tamtym.

— Zgadzasz się — odpowiedział żółw.

Wówczas Ku przeczytał mu początek czterowiersza:

Czy jest cośkolwiek droższego niż para gołębi?
Czy jest cośkolwiek bardziej śniadego niż małe robaczki świętojańskie?

Żółw przewiózł w ekstazie uczonego Ku przez rzekę. Gdy

tylko Ku postawił nogę na przybrzeżny piasek, zaczął czytać dalej:

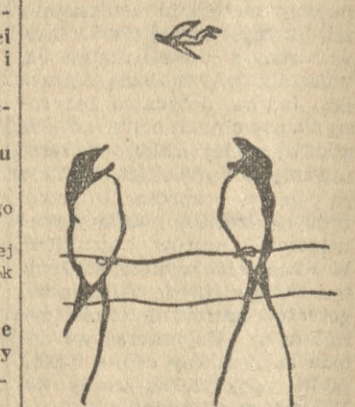
Czy jest cośkolwiek gadatliwszego niż sroka?

Czy jest cośkolwiek głupszego niż czarny żółw?

Od tego dnia żółwie, chociaż nadal bardzo kochają poezję, nie wysławiają usług wędrowników.

I mają rację.
Przeł. z ros.
FR. SWARZYCA

NA PODNIEBNY TEMAT



— Wysoko latają — pogoda będzie!



— Skoczę tylko po papierosy i zaraz wracam...
Rys. S. Kobyliński

WITOLD DEGLER

Traszkę

PEWNA PANI I CIUCHY
Mężus przy niej to Kopciuszek — słyszy od niej wciąż: „Kup ciuszek...”

LOS ROZRZUWNEGO BOGACZA

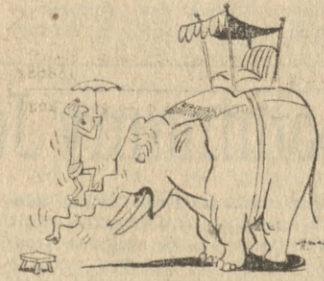
Pewien nabab nad nababy finansowo nie dał rady: strwonił mienie swe na baby i przez baby zszedł — na dziady!

POCHWAŁA KUNSTU

On wiele trudu umiał sobie [zadać, by wszelką sprzeczność złączyć [harmonijnie — i dziś, co miesiąc się księżu [spowiada z każdego odchylenia linii [partyjnej.

Henryk Derwich

Słoń też zwierzę!



Prototyp ruchomych schodów..



Bez słów.



— Ma się ten kombajn!...



Pomyłka.

MODA

PRZYJEMNA SUKIENKA Z BAWELNY NA ZABAWĘ NA ŚWIEŻYM POWIETRZU
Materiałem jest zwykła bawelna drukowana, która wygląda bogato dzięki przybraniom: koronka „sangallo” użyta w formie długich pasków wraz z naszymi aksami-tem. Aksamit jest tego samego koloru, co dominujący kolor motywu na modelu.

(„Noi Donne”)

